

Kapłańska droga.
Wspomnienia
ks. Zenona Szerle

Kapłańska droga.

Wspomnienia

ks. Zenona Szerle

Za zgodą Kurii Metropolitalnej
Archidiecezji Warmińskiej
Olsztyn, 13 stycznia 2015 r.
L.dz. 28/2015

Fotografie z archiwum ks. Zenona Szerle
Fotografia na okładce – s. Dolores Nawrocka

Redakcja
Ks. Krzysztof Bielawny

Korekta
Alicja Bartosik

Projekt okładki, skład i łamanie
Bogdan Grochal

Publikacja sfinansowana przez ks. proboszcza z Morąga
Jana Solisa i ks. proboszcza z Biskupca Pomorskiego
Tomasza Gańko

© Copyright by Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne

ISBN 978-83-61864-15-8

Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne
ul. Wyszyńskiego 9
10-457 Olsztyn

Druk
Mazowieckie Centrum Poligrafii
ul. Słoneczna 3D
05-270 Marki

Do Czytelnika

Pamiętniki, wspomnienia czy też kroniki, a nawet wpisy do księgi gości są cennymi świadectwami życia osób, rodzin i społeczności. Ukazują, bowiem dzieje poprzez pryzmat przeżyć konkretnych osób. Pozwalają ocalić od zapomnienia wydarzenia i przeżycia autorów.

Posiadamy nie wiele opublikowanych wspomnień księży pracujących w XX wieku na Warmii, Mazurach i Powiślu. Tym bardziej cieszy, że Ksiądz Zenon Szerle, kapłan warmiński, a od 1992 roku elbląski, zdecydował się wydać drukiem swoje wspomnienia.

Ks. Zenon Szerle urodził się w 1930 roku, w Tczewie. Po studiach teologicznych w Warmińskim Seminarium Duchownym „Hosianum” w Olsztynie, otrzymał święcenia kapłańskie w 1955 roku. Odbył studia specjalistyczne, w zakresie teologii moralnej w Akademii Teologii Katolickiej, w Warszawie. Po krótkim okresie pracy wykładowcy i wychowawcy w seminarium, pracował w duszpasterstwie parafialnym, jako wikariusz i proboszcz. Obecnie na emeryturze pełni posługę kapelana w domu zgromadzenia sióstr.

Ks. Szerle cieszy się szacunkiem biskupów warmińskich i elbląskich. Został odznaczony kapelanią honorową Jego Świątobliwości papieża Jana Pawła II. Posiada tytuł kanonika zasłużonego kapituły, dawnej katedry pomezjańskiej pw. św. Jana w Kwidzynie.

*+ Jacek Jezierski
Biskup Elbląski
9 stycznia 2015 r.*

Wspomnienia



Zycie jest drogą do Boga. Każdy człowiek ma swoją. Nie od razu wiemy, jak ją przebyć. Dokonujemy wyborów, mniej lub bardziej rozsądnych, ale efekty zobaczymy dopiero po upływie czasu.

Czy były dobre, widzimy oglądając się wstecz. Moja droga zaczęła się w Tczewie, bo tu się urodziłem 5 VI 1930 r., jako syn Jana Szerlego i Heleny z domu Malak. Ojciec mój był kupcem oraz właścicielem Hotelu Centralnego, restauracji, ponadto dzierżawił Grand Hotel w Tczewie. Mama pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Moimi chrzestnymi byli dziadek Jan Malak i babcia Małgorzata Paszyk (po śmierci pierwszego męża dziadka Scherle, który zginął na pierwszej wojnie światowej jako żołnierz niemieckiej armii; wyszła za mąż po raz drugi za Wiktora Paszyka. Dziadek Malak miał w Prusach Wschodnich majątek Szarlotowo (obecnie Dziaduszyn). W czasie plebiscytu optował na rzecz Polski i dlatego musiał swój majątek sprzedać i wyjechać do Polski. Ponieważ na granicy Niemcy zabrali mu wszystkie pieniądze, skarżył rząd Polski o rekompensatę. W wyniku parcelacji na Pomorzu otrzymał resztówkę z parcelowanej ziemi. Miał teraz

dosyć duże gospodarstwo, którym się zajmował. Moja mama z trzema siostrami dzieciństwo spędziła w Szarlotowie. Dziadkowie mieli w swoim majątku nauczycielkę; uczyła i wychowywała dziewczynki. Polonia utrzymywała ze sobą kontakty towarzyskie. Cała rodzina uczęszczała na Msze św. do Węgorzewa. Od czasu do czasu była tam odprawiana Msza św. dla Polaków, odprawiał ją po polsku polski ksiądz. Dziadek miał swój udział finansowy w budowie pięknej kaplicy w Węgorzewie, do dziś czynnej. Majątek musiał być spory, skoro miał własną gorzelnię.

O tym drugim dziadku Scherle, zabitym na wojnie, nie wiem prawie nic. Natomiast bardzo dobrze znałem drugiego męża babci, bo byłem na jej weselu. Wynikła wówczas z tego powodu zabawna sytuacja podczas mojej wizyty u fryzjera. Gdy mówiłem, że wybieram się na wesele mojej babci, nie chciano mi wierzyć. Moja chrzestna urodziła czterech synów. Jednym z nich był mój ojciec. Ochrzczony zostałem w kościele, który się mieścił naprzeciw naszego mieszkania, dosłownie przez ulicę. Na chrzcie otrzymałem imiona Zenon Szczęsny. To drugie imię zasugerował jakiś dobry znajomy ojca. Podobno jako prezent dostałem złoty kieszonkowy zegarek, którego ani nie widziałem, ani nie dostałem. Niemcy go prawdopodobnie ukradli.

Wiem, że ojciec mój był pracowity i bystry w interesach. Pamiętam, że wybrał się na roczną wycieczkę statkiem do różnych krajów. Przywiózł nam rozmaite pamiątki: migdały na gałązce, kastaniety, straszak inkrustowany i mnóstwo fotografii. Mama jako młoda mężatka musiała zarządzać wszystkim. Miała dobre przygotowanie, bo ukończyła szkołę u zakonnicy, gdzie

uczono młode dziewczyny wszelkich prac gospodarczych, takich jak: gotowanie, pranie, haftowanie, szycie, itp. Ciężko pracowała, zarządzając około 40-osobowym personelem, a wszystkie stanowiska wymagały dopilnowania i kontroli. Zdarzały się kradzieże; pamiętam, że dziwiłem się, jako dziecko, widząc w toaletach zszyte brzegami ręczniki, by nie ukradli ich ani goście, ani służba. Ludzie, jak to ludzie, mieli swoje słabostki. Na srebrnych łyżkach, widelcach i nożach hotelowych był wygrawerowany nasz monogram.

Byłem od dziecka bardzo nerwowym chłopcem. Wiem, że przysparzałem rodzicom wiele zmartwień, bo nie chciałem jeść. Wozili mnie do różnych lekarzy. Mama mówiła: „Jesteś chudy jak deska, jak idę z tobą, muszę się wstydzić za ciebie, bo ludzie mogą pomyśleć, że cię głodzę”. Lekarze podejrzewali katar kiszek i zalecali kuracje, które dla mnie były torturą. Stawiano mnie na krześle nago w misce i zmywano całe ciało zimną wodą, a ja wrzeszczałem, ile tylko mogłem. Niestety, na tym się nie kończyło. Musiałem zażyć łyżkę oleju rycynowego i pić ciemne piwo. Mogłem pić tyle ciemnego piwa, ile chciałem, ale wtedy ono mi wcale nie smakowało. Najgorsza była operacja usunięcia trzeciego migdałka z gardła. Już samo badanie było czymś strasznym. Lekarz wyznaczył termin operacji, ale mama musiała go przyspieszyć, bo tak bardzo byłem wystraszony. Operacja odbyła się w Gdyni, w prywatnym gabinecie. Nie znieczulono mnie wcale. Lekarz położył mi na język jakąś niklowaną łopatkę. Zakryła całkowicie język. Po niej się ślizgając wsuwał mi do gardła narzędzie przypominające dwa widelce połączone ze sobą jak nożyce. Mogłem tylko płakać. Cztery razy zapuszczał się

w moje gardło i dopiero za czwartym razem wyciągnął coś w rodzaju grubej parówki. Położyli mnie na leżance. Lekarz udał się do szpitala, mama czuwała przy telefonie. Byłem blady jak trup, straciłem dużo krwi. Ożywiłem się, gdy przyszedł stryj z żoną i przyniósł mi jakąś zabawkę. Lekarz nakazał jeść wszystko, co jest zimne. Mogłem jeść lody, które łagodziły ranę.

Miałem 5 lat, kiedy urodziła się w Gdańsku moja siostra Ewelina. Urodziła się w prywatnej klinice, bo podobno odbywały się tam bezbolesne porody. Kiedy mnie ojciec zawiózł do szpitala, bym ją zobaczył, byłem zaskoczony jej widokiem. Zobaczyłem coś czerwonego, pomarszczonego, z malutkimi oczkami, uszkami i śmiesznym noskiem. Powiedziałem: „Co za brzydactwo”. Opiekowała się nami niańka, miała nas uczyć poprawnej mowy polskiej, piosenek patriotycznych i różnych innych pożytecznych rzeczy.

Przyszedł dzień pójścia do szkoły. Jako sześciolatek wkraczałem w mury szkolne odprowadzany z wszelkimi honorami z ogromną tekturową ozdobną tubą pełną cukierków. W szkole był porządek, nikt w czasie lekcji nie rozmawiał. Każdy patrzył w nauczyciela jak w obrazek. Krzyki były jedynie na boisku. Byłem słaby fizycznie i bałem się, że mnie obiją mocniejsi. Miałem jednak „goryla”, który w razie, czego mnie bronił. Kupowałem go sobie za różne dziecięce drobiazgi, np. piękne buteleczki w kształcie kolorowego kogucika po perfumach mamy. Ulubionym miejscem zabawy moim i siostry był płaski dach kryty papą nad kuchnią hotelową. Pamiętam ciężką chorobę mojej siostry. Okna zasłonięte i w takim półmroku noszono ją na rękach. Miała zapalenie płuc, wszyscy się za nią modlili.

Wiem, że mama prosiła siostry zakonne o modlitwy. Znałem te zakonnice, bo chodziłem do ich przedszkola. Wszystkie przedszkolaki nosiły jednakowe fartuchy. Mamusi się to podobało, ponieważ biedne dzieci w ten sposób nie różniły się od bogatych. Nasze siostry wincentki przygotowały bajkę, którą graliśmy na dużej scenie jakiejś sali teatralnej. Miałem piękny strój krasnoludka. Seledynowy z błyszczącej satyny z białym fartuchem. Całości ubioru dopełniała czapka z dużym pomponem i buciki z zakrzywionymi do góry czubkami, także z pomponami. Kiedy podniosła się kurtyna, zobaczyłem mnóstwo widzów. Mama należała do Stowarzyszenia Dobroczynnego pań Św. Wincentego a Paulo. Uczestniczyła w różnych imprezach i balach na rzecz ubogich.

Ojciec nie dawał mi nigdy pieniędzy. Nie znałem wcale ich wartości, o czym świadczą pewne zdarzenia. Otóż pewnego dnia, kiedy babcia pokazywała mi srebrną pięciozłotówkę, capnąłem monetę i pobiegłem do sklepu papierniczego kupić arkusze z żołnierzami do wycinania. Sklepikarz ogromnie się zdziwił, słysząc, że ma za wszystko mi je sprzedać; nawet nie miał aż tyle arkuszy w swoim sklepie. Dobrze, że babcia przybiegła i wszystko wyjaśniła.

Pamiętam też staruszkę, która strugała ziemniaki do kuchni hotelowej. Wyżebrałem od niej 5 groszy i kupiłem sobie sznekę z glansem (drożdżówka upieczona na wzór domku ślimaka). Wynikła z tego wielka awantura. „Jak mogłeś zabrać biednej kobiecie pieniądze, ty, który masz wszystko?” – złąjano mnie. Właściwie mogłem wszystko kupować bez pieniędzy. Sklepikarz zapisywał w zeszycie, a ojciec później mu płacił.

SPIS TREŚCI

Do Czytelnika	5
Wspomnienia	7
Wojna	21
Okupacja	29
Jędrzejów	35
Samokłęski	43
Nakło nad Notecią	47
Po wojnie	55
Seminarium	65
Studia na ATK	71
Malbork	91
Milejewo	95
Elbląg	101
Siostry benedyktyнки	109
Zakończenie	114
Aneks	116